

Karol May

Doręcznik gwardii



Leśna
Różyczka

Tom
6

Część III

Zwycięstwo
mścicieli





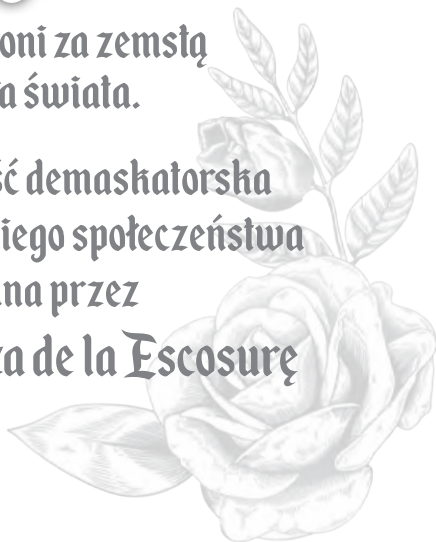
Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se”, czyli „Książę Skal”

KAROL MAY

Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą
dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa
napisana przez
Ramona Diaza de la Escosurę



PORUCZNIK
GWARDII

Karol May

Doręcznik gwardii



Przełożyła Iwona Kapela

Leśna
Różyczka

Tom
6

Część III
Zwycięstwo
mścicieli



Sto trzydziesta trzecia
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Szósty tom kolekcji
„Leśna Różyczka”

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Waldröschen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Tomasz Mierzwa, 2024

Artystyczny przekład fragmentów poezji © Copyright for the Polish translation
by Piotr Plachta, 2024

72 ilustracje, w tym 21 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte
z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska

Przypisy: Tomasz Mierzwa, Andrzej Zydorczak

Korekta: Andrzej Zydorczak

Koncepcja graficzna, projekt i konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66980-01-3 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-16-2 (tom 6)



Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2024

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PORUCZNIK GWARDII

*Jestem wciąż młody, a jednak nie lękam się
Potężnych fal, piętrzących się w mym życiu.
Złote, jasne światło obmywa horyzont,
Rozpięty niczym łuk w błękitie mego nieba.*

Zycie jest jak morze, którego wzburzone fale odradzają się na nowo. Miliony kolejnych postaci wynurza się z otchłani, aby pojawić się na powierzchni na krótką chwilę życia i następnie zniknąć ponownie – na zawsze? Któż to może wiedzieć! Na brzegu stoi obserwator, zadając losowi tysiące pytań, na które ten odpowiada nie słowami lecz działaniem. Wydarzenia następują samoistnie, a zwykły śmiertelnik jest skazany na oczekiwaniu z prawie bezsilną cierpliwością na upragniony ich rozwój. Żadna godzina, minuta czy chwila nie może nastąpić przedwcześnie, a żaden czyn nie może być bardziej owocny, niż nakazują odwieczne prawa.

Człowiek często zostaje postawiony w obliczu czegoś, co uważa za doniosłe wydarzenie, jednak mijają dni i lata i wydaje się, jakby wszystko uległo zapomnieniu. To tak, jakby przeszłość straciła związek z teraźniejszością. Brak dźwięku, brak czynu, brak sukcesu powoduje, że człowiek w swej słabości zaczyna wątpić w sprawiedliwość Opatrzności. Jednak ona bezwzględnie podąża swoją potężną i niezbadaną ścieżką i w momencie, gdy się tego najmniej spodziewamy, ingeruje w wydarzenia z całych swych sił. Ze zdumieniem zdajemy sobie sprawę, jak te wplecione głęboko w dno morza nitki życia wynurzają się na powierzchnię, aby utworzyć węzeł, który teraz ma zostać uwolniony w moc człowieka.

Tak również było z losami, których wątki zbiegły się w zamku Rheinswalden. Minęły miesiące i lata, a nie było żadnych wiadomości o ukochanych osobach, które wyruszyły w daleki świat. W końcu należało przyznać, że zginęli, co spowodowało głęboką i szczerą żalobę wśród mieszkańców Rheinswalden.

Gdy wszystkie, nawet najdokładniejsze poszukiwania okazały się bezskuteczne, pozostało się pogodzić z nieubłaganą rzeczywistością. Ból był ogromny i tylko czas, działający jak balsam, mógł go uśmierzyć. Ciąg cichych wyrzeczeń rozchodził się po twarzach; przestano rozpaczać, jednakże pamięć o zaginionych została zachowana gdzieś głęboko w duszy, skutecznie chroniona przed przyznaniem, że wciąż tli się iskierka nadziei.

Tak upłynęło szesnaście pełnych i długich lat, zanim seria wydarzeń, które wydawały się już zakończone, doczekała się kontynuacji.

W jednym z najznamienitszych lokali w Berlinie, położonym w pobliżu Tiergarten, wielkiego parku, w którym znajdowało się berlińskie zoo, odwiedzanym wyłącznie przez oficerów i co najwyżej wysokich rangą urzędników państwowych, pewnego ranka siedziała grupa młodych ludzi, sądząc po mundurach, żołnierzy z różnych formacji wojskowych. Zebrali się na jedno z tych wykwintnych śniadań, za które rachunek często wynosi kilkaset marek. Wydawało się, że popijane wino zdążyło już wprowadzić ich w radosny nastrój.

Śniadanie to było wynikiem pewnego zakładu. Porucznik von Rave-now służący w huzarach gwardii, będący niezwykle majątnym człowiekiem, znany był jako gorącokrwisty, najprzystojniejszy wśród oficerów. Cieszył się taką popularnością wśród kobiet, że chwalił się, iż nigdy nie dostał kosza. Jakiś czas temu w Berlinie osiedlił się rosyjski książę (książę), którego córka odznaczała się nieprzeciętną urodą i była obiektem zalotów wielu młodych mężczyzn. Wydawało się jednak, że ona nawet nie dostrzegała tych zabiegów, odrzucała je z taką dumą i stanowczością, iż uważano ją za zdeklarowaną nieprzyjaciółkę mężczyzn. Nawet von Golzen, porucznik kirasjerów¹ gwardii, spotkał się z jej publicznym, a przez to wyjątkowo fatalnym odrzuceniem i z tego powodu stał się

¹ *Kirasjerzy* – żołnierze ciężkiej jazdy (szturmowej) w zbrojach z metalowych płyt (kirysach).

obiektem drwin swoich towarzyszy. Ponieważ najbardziej kpił sobie z niego von Ravenow, von Golzen, aby się zemścić, zaproponował zakład o wystawne śniadanie, że on również dostanie kosza. Ravenow natychmiast przyjął zakład i wygrał, gdyż od kilku dni pokazywał się w towarzystwie Rosjanki i nie ulegało wątpliwości, że cieszył się jej względami.

Dzisiaj Golzen musiał wywiązać się z zakładu, a towarzysze zatroszczyli się o to, by oprócz wysokiego rachunku nie zabrakło kpin.

– Tak, Golzen, jesteś taki jak ja! – mruknął długi, chudy jak szczapa kapitan w mundurze strzelców. – Obaj nie mamy szczęścia do hymenu, ale z jakiego powodu, to tylko diabeł raczy wiedzieć!

– Ba! – zaśmiał się adresat zaczepki. – Na twoim przykładzie łatwo wytłumaczyć brak szczęścia u kobiet. Ta, która zgodziłaby się wyjść za ciebie, musiałaby uszczęśliwić trzy mile kości, a to jest praca dla taksydermisty² medycznego, a nie dla kobiety. Co do mnie zaś, to moja duma nawet w najmniejszym stopniu nie została urażona. Przegrałem zakład nie z powodu kosza, ale dlatego, że Ravenow go nie dostał. Jestem przekonany, że on również trafi na mistrzynię, która zmusi go rejtterady.

– Ja? – zapytał Ravenow. – Co ty mówisz?! Jestem gotów się założyć, że wszędzie zwyciężę.

– Oho! – zabrzmiało wokół.

– Tak! – powtórzył Ravenow. – Każdy zakład o każdą dziewczynę. Na mój honor!

Uderzył dłonią w miejsce, w którym zazwyczaj znajdowała się rękojeść teraz odłożonej szpady i popatrzył wyzywająco wokół. Jego zarumienione policzki świadczyły o tym, że nie żałował sobie wina i stąd też mogło się okazać, że przecenia swoje siły nad zamiary. Golzen podniósł ostrzegawczo palec i powiedział:

– Uważaj, stary, bo złapię cię za słowo!

– Zrób to! – zawołał Ravenow. – Jeśli nie złapiesz mnie natychmiast za słowo, to oświadczę, że boisz się zapłacić za drugie śniadanie.

Golzen zerwał się z miejsca z błyskiem w oczach i zapytał:

– Czy wchodzisz w każdy zakład?

² *Taksydermista* (taksydermik) – osoba zajmująca się preparowaniem i wypychaniem zwierzęcych zwłok.

– W każdy! – padła szybka, zuchwała odpowiedź.
– O każdą dziewczynę?
– O każdą! Kropka!
– Niech będzie! Stawiam mego kasztana przeciwko twojemu arabowi.
– Do stu piorunów! – wykrzyknął Ravenow. – To diabelnie nierów-
na stawka, ale ja się nie wycofuję. Przyjmuję zakład. Która dziewczyna?

Na ustach Golzena pojawił się cyniczny uśmiech, gdy odpowiedział:

– Dziewczyna z ulicy, ta, którą ci wskażę wśród przechodniów.

Na sali zabrzmiał głośny śmiech, a jeden z obecnych zawołał:

– Bravo! Golzen chce poświęcić swojego kasztanka, aby Ravenow mógł zyskać wielką sławę zdobyciem jakiejś szwaczki lub podejrzanej nimfy sklepowej. Bosko!

– Przestań, sprzeciwiam się! – odpowiedział Ravenow. – Powiedziałem wprawdzie „każdą dziewczynę”, ale przynajmniej pozwolę sobie na ograniczenie, że nie może to być prostytutka. Jesteś to winny mojemu honorowi. Jeśli musi to być któraś ze spotkanych na ulicy, to żądam, abyś wybierał z tych, które przejeżdżają, a nie przechodzą.

– Sprzeciw przyjęty! – zgodził się Golzen. – Pójdę na jeszcze większe ustępstwo i nie wskażę ci nawet jadącej dorożką.

– Dziękuję – przytaknął z zadowoleniem Ravenow. – Ile czasu mi dajesz na podbój?

– Pięć dni począwszy od dzisiaj.

– Zgoda! Niech więc rozpocznie się taniec. Mam dużo czasu!

Wstał i przypasał szpadę do boku. Z trudem można było dostrzec, że w jego krwi wciąż buzowało wypite wino, a nikt, kto widział go tak stojącego, z malującą się na jego przystojnej twarzy pewnością siebie i przebiegłością, nie miał wątpliwości, że nie będzie miał większych problemów, by wykorzystać swoje walory. Panowie oficerowie, a zwłaszcza ci z gwardii, są niestety zbyt rozpieszczani przez damy, aby mogli się uważać za możliwych do pokonania.

Od tej chwili na sali zapanowało ogólne napięcie.

Panowie stali przy oknach i obserwowali pasażerki przejeżdżających powozów. Którą z mijających ich pań wybierze Golzen? Nigdy wcześniej nie było takiego zakładu. „Interesujący! Kapitalny! Niesamowity!

Nadzwyczajny! Zuchwały! Wspaniały! Piramidalny!”. Były to pojedyncze słowa, wykrzykiwane dla złagodzenia napięcia, aż w końcu niewielki wzrostem porucznik fizylierów³, podszedłszy do okna, zawołał:

– Ach, cudowna! Prawdziwa piękność!

– Kto? Gdzie? – padały pytania.

– Tam na rogu, w powozie z dwoma końmi trakeńskimi⁴ – odpowiedział porucznik.

– Ach, na Boga, masz rację! – wykrzyknął kolejny głos. – Kto to może być?

Wskazany powóz poruszał się wolno. W głębi obok poważnej, starszej damy siedziała młodzianka dziewczyna o dopiero rozkwitającej urodzie, niemożliwej wręcz do opisania. Jej niebiańską twarzyczkę oblewał delikatny rumieniec młodości; gęste, sprężyste włosy, zaplecione w dwa grube, długie warkocze, opadały na siedzenie jak wijący się, miękkie, delikatny wąż nad krągłymi kolanami i wzdłuż nich. Rysy miała tak czyste, tak dziecięce i tak niewinne, a mimo to w jej głębokich, ciemnych oczach widać było blask, który groził oślepieniem każdego zbliżającego się śmiałka. Sądząc po figurze, dopiero co zrobiła pierwszy krok od dziecka do nastoletniej panny, ale te kształty, pomimo swej delikatności, były idealną zapowiedzią rozwoju królewskiej piękności. Gdyby ta panna podniosła się ze swego miejsca, z pewnością zaprezentowałyby się imponującym wzrostem.

– Wspaniała! Niezrównana! Kim ona jest? Nieznajoma! Wenus! Nie, Diana! Raczej Minerwa⁵!

Wokoło słyhać było takie właśnie okrzyki. Golzen, kirasjer gwardii, odwrócił się, wskazał na powóz i powiedział:

– Ravenow, ta tutaj!

– Ach zgadzam się, zgadzam się w zupełności! – wykrzyczał ten prawie triumfalnym tonem.

³ *Fizylier* – w dawnym wojsku: żołnierz uzbrojony w fuzję.

⁴ *Koń trakeński* – rasa konia pochodzenia staropruskiego.

⁵ *Wenus* (Wenera) – w mitologii rzymskiej bogini miłości, utożsamiana z grecką Afrodytą; *Diana* – w mitologii rzymskiej bogini lasów, zwierząt, księżycy i płodności; opiekunka kobiet w czasie porodów; utożsamiana z grecką Artemidą; *Minerwa* – w mitologii rzymskiej bogini italska lub etruska patronująca rzemiosłu i sztuce, identyfikowana z grecką Ateną.

Wyglądził swój mundur, spojrzął w lustro, wziął szpadę pod pachę i wyszedł w pośpiechu.

– Szczęściarz, na mój honor! – warknął wysoki kapitan, patrząc za nim z zazdrością. – Ciekaw jestem, jak on to rozpocznie!

– Pewnie pojedzie za nimi dorożką, by najpierw zdobyć jej adres – próbował przewidzieć jeden z obecnych.

Golzen zaśmiał się chłodno i odpowiedział:

– I straci cały dzień! Nie, on postara się jeszcze dziś zacząć z nimi rozmowę.

– Ale jak ją rozpocznie?

– To już jego kłopot! Ma w tej kwestii wystarczające doświadczenie, a żeby uratować swojego araba, będzie musiał popisać się pomysłowością.

– Ach, on naprawdę bierze dorożkę i jedzie za nimi. Któż nie chciałby być na jego miejscu?!

Ravenow rzeczywiście wziął fiakra, którego łatwo było złapać na pobliskim postoju. Poleciał dorożkarzowi podążać za ekwipażem zaprzęonym w dwa konie trapeńskie. Natychmiast ruszyli. Oba pojazdy skręciły w stronę ogromnego parku Tiergarten i stało się jasne, że dwie damy zamierzają tam odbyć przejażdżkę.

Kiedy dotarli do mniej ruchliwej alei, porucznik nakazał dorożkarzowi wyprzedzić powóz, sięgając wcześniej do kieszeni, aby mu zapłacić. Kiedy dorożka przejeżdżała obok kobiet, obrócił się w ich stronę, wyglądając na bardzo zaskoczonego, i przywitał się tak, jakby właśnie spotkał znajome. Dał znać woźnicy powozu, aby się zatrzymał, i jednocześnie wyskoczył ze swojej dorożki, która natychmiast zawróciła. Ekwipaż się zatrzymał.

– Dalej! – rozkazał woźnicy, i zanim powóz ponownie ruszył, on już otworzył drzwiczki i bezceremonialnie wsiadł do środka.

Usiadł na siedzeniu rozpromieniony, udając, że nie zauważa zdumienia, a nawet oburzenia na twarzach obu kobiet. Potem wyciągnął ręce do dziewczyny i zawołał z wyjątkowo dobrze zagrany entuzjazmem:

– Paula, czy to możliwe? Co za spotkanie! Pani w Berlinie? Dlaczego pani nie dała mi znać wcześniej?



Wskazany powóz poruszał się wolno. W głębi obok poważnej, starszej damy siedziała młodzianka dziewczyna o dopiero rozkwitającej urodzie, niemożliwej wręcz do opisanania.

– Mój panie, wydaje się, że wziął nas pan za kogoś innego! – powiedziała z bardzo poważną miną starsza dama.

Przybrawszy minę częściowo wyrażającą zdziwienie, ale także domniemanie, że chcą z niego zażartować, odpowiedział:

– Ach, łaskawa pani, proszę mi wybaczyć! Wygląda na to, że nie miałem jeszcze zaszczytu zostać pani przedstawiony, ale Paula z pewnością szybko to nadrobi.

Następnie, zwracając się do młodej damy, poprosił:

– Czy byłaby pani tak dobra i przedstawiła mnie tej damie?!

Głębokie, poważne oczy dziewczyny rzuciły badawcze i ostre spojrzenie, a potem usłyszał głos złoty, przyjemny i dźwięczny jak dzwonek:

– Ależ to niepodobna, gdyż sama pana nie znam. Kim pan jest?

Ravenow cofnął się z wyrazem najwyższego zdumienia i odparł:

– Jak to, wypierasz się mnie, Paulo?! Czym sobie na to zasłużyłem? Ach, zapomniałem, że czasem lubi sobie pani trochę pożartować!

Ponownie natknął się na jej badawcze spojrzenie, jednak bardziej złowrogie niż poprzednio, a gdy odpowiedziała, w jej głosie zabrzmiało dumne, pełne wyniosłości odrzucenie, aż poczuł ciarki na całym ciele.

– Nigdy nie żartuję z osobami, których nie znam lub nie chcę znać, szanowny panie. Mam nadzieję, że to nic innego jak fatalne podobieństwo do mnie spowodowało, iż bez zbędnych ceregieli napadasz na nasz powóz. Proszę, aby pan się nam przedstawił!

Udało mu się przybrać zakłopotaną minę i z równie dobrze symulowanym pośpiechem odpowiedział:

– Ach, doprawdy? Mój Boże, czy mógłbym się aż tak pomylić?! Ale wtedy podobieństwo byłoby tak uderzające, że nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe! Muszę natychmiast rozwiązać tę zagadkę. – I z podwójnym ukłonem skierowanym do obu dam, dodał: – Nazywam się Hugo von Ravenow, hrabia Hugo von Ravenow, porucznik huzarów gwardii Jego Królewskiej Mości.

– To potwierdza, że nie znamy pana – stwierdziła dziewczyna. – Nazywam się Rosita Sternau, a ta dama to moja babcia.

– Rosita Sternau? – zapytał, sprawiając wrażenie bardzo zaskoczonego. – Czy to doprawdy możliwe? Widzicie mnie, drogie panie, mocno

zdumionego! Padłem ofiarą bardzo niezwykłego i niewiarygodnego podobieństwa i gorąco proszę o przebaczenie!

– Jeżeli rzeczywiście chodzi o takie podobieństwo, to z pewnością musimy panu wybaczyć – powiedziała Rosita, ale zarówno jej ton, jak i spojrzenie wyrażały spore niedowierzanie. – Czy mogę prosić, aby powiedział mi pan, kim jest mój sobowtór?

– Oczywiście, panno Sternau! To moja kuzynka Marsfelden.

– Marsfelden? – zapytała Rosita, patrząc zdziwionym wzrokiem to na niego, to na babkę. – Marsfelden to nazwisko szlacheckie. Gdzie przebywa ta kuzynka, Paula von Marsfelden?

Twarz porucznika się wypogodziła. Z zadanego pytania wywnioskował, że dama jest gotowa wdać się z nim w rozmowę, a to właśnie było jego zamiarem. Wydawało mu się, że teraz pójdzie już łatwo. Damy nazywały się po prostu Sternau, były więc zwykłymi mieszczankami, a która dziewczyna tak zwykłego pochodzenia nie byłaby zadowolona ze spotkania porucznika gwardii, który ponadto był hrabią. W najmniejszym stopniu nie podejrzewał, że pytanie Rosity było podchwytliwe, dlatego też odpowiedział z największą swobodą:

– Tak, Paula von Marsfelden. Przebywa na dworze wielkiej księżnej Hesji-Darmstadt. Ponieważ księżna bardzo ją sobie ceni, zawsze jest blisko niej, toteż byłem mocno zaskoczony, widząc ją tutaj, w Berlinie. Muszę jej jeszcze dziś napisać, że mamy tu tak piękną i godną podziwu jej podobiznę.

Na drobnych ustach dziewczyny pojawił się fatalny, ironiczny uśmiech, gdy odpowiedziała:

– Proszę oszczędzić sobie tego trudu!

– Dlaczego, moja pani?

– Ponieważ osobiście powiadomię pannę von Marsfelden.

– Pani sama? Z jakiego powodu?

– Ponieważ ta dama jest moją przyjaciółką. Oświadczam panu, aczkolwiek całkiem niepotrzebnie, że ja również mam zaszczyt być mocno cenioną przez wielką księżną, jak się pan raczył wyrazić.

– Ach!

Ta sylaba zabrzmiała prawie jak okrzyk przerażenia. Zdał sobie sprawę, że jeżeli nie popsuł całej sprawy, to na pewno mocno ją pokiereszował

i stracił przewagę. Ta mieszczańska dziewczyna miała dostęp do wielkoksiążącego dworu? Ta dziewczyna znalazła damę, której imię wymienił tylko dlatego, że nie przyszło mu do głowy żadne inne? Paula von Marsfelden nie była z nim w najmniejszym stopniu spokrewniona, nazwał ją swoją kuzynką tylko po to, aby usprawiedliwić swe bezczelne wtargnięcie do powozu.

– Przeraził się pan? – powiedziała Rosita z dumną obojętnością. – Nie pomyliłam się więc co do pańskiej osoby. Jest pan wprawdzie hrabią i oficerem, ale również kłamcą i zwykłym draniem, bardzo bezczelnym draniem!

– Pani! – oburzył się oficer.

– Poruczniku! – odpowiedziała z najgłębszą pogardą.

– Gdybyś była pani mężczyzną, na Boga i na mój honor, musiałabyś natychmiast dać mi satysfakcję! Czy mogę ponosić odpowiedzialność za podobieństwo, które jest przyczyną mojej pomyłki?

W tym momencie głos chciała zabrać z największym oburzeniem pani Sternau, ale Rosita poprosiła ją gestem dłoni o milczenie i sama wzięła na siebie odpowiedź. Trudno było się spodziewać po tak młodej dziewczynie takiej ostrości, z jaką odpowiedziała:

– Proszę milczeć! Gdybym była mężczyzną, walczyłabym tylko z ludźmi godnymi takiej satysfakcji. Wątpię, czy może pan przysiąc na swój honor, gdyż pańskie postępowanie świadczy o jego całkowitym braku. A co do podobieństwa, na którym próbuje się pan opierać, to jest podła nieprawda. Panna von Marsfelden nie przypomina mnie bardziej niż pan człowieka honoru. Po prostu szukał pan taniej przygody. Znalazł ją pan, jednak z innym skutkiem, niż się pan spodziewał. Widzi pan więc, że pańska bardziej niż wątpliwa rola została już odegrana i dlatego proszę nas opuścić!

Była to odprawa, jakiej porucznik jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Jednak był on człowiekiem, który nie zwykł dawać za wygraną. Czy mógłby już na samym początku przygody przegrać zakład? Nie, jego koń był dla niego zbyt cenny. Nawet w całkowitej desperacji istniały możliwości dające mu nadzieję na wygraną. Dlatego przybrał jak najbardziej skruszoną minę i odparł:

– Dobrze więc, łaskawa damo, przynajmniej częściowo muszę się z panią zgodzić. Znajduję się w sytuacji, która nie pozostawia mi wyboru. Czuję się więc zmuszony wyznać prawdę, nawet ryzykując popełnienie strasznego błędu i powiększenie pani obecnego gniewu.

– Gniewu? – Rosita uśmiechnęła się z wyższością. – Nie, o gniewie nie ma tu mowy. Rozgniewać mógłby mnie tylko równy mi charakter. Nie zasłużył pan na mój gniew, a jedynie na pogardę. Nie rozumiem, co jeszcze ma mi pan do powiedzenia, więc rezygnuję z dalszej rozmowy i ponownie proszę o opuszczenie powozu!

– Nie i jeszcze raz nie! – odpowiedział natychmiast Ravenow. – Musi pani wysłuchać, co mam na swoją obronę.

– Muszę? Ach! Zobaczmy czy będę musiała!

Wzrokiem badawczo przeszukiwała aleję, a tymczasem porucznik kontynuował:

– Prawda jest taka, że chodzę za panią od tygodni, odkąd zobaczyłem tu panią po raz pierwszy. Pani widok napelnił moje serce uczuciem...

Przerwał mu śmiech, który jak gdyby kaskadami złota płynął z jej różowych ust, które chciałby całować raz po raz! Czuł, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo związane z pomieszaniem różnych ról i schwyтaniem na gorącym uczynku.

– Chodzi pan za mną od tygodni? – zapytała.

– Tak, na mój honor, pani! – odparł błagalnym tonem.

– Tutaj, w Berlinie?

– Oczywiście – odpowiedział nieco speszony.

– I mówi pan, że chce mi wyznać prawdę?

– Czystą, szczerą prawdę, przysięgam!

Z tym zapewnieniem położył rękę na sercu; ona nie spostrzegła tego, gdyż zobaczyła, że w alei stał policjant, i to było to, czego w tej chwili najbardziej pragnęła.

– Otóż powiem panu – odpowiedziała – że znowu pan kłamie. Nigdy wcześniej nie byłam w Berlinie i jestem tu dopiero od wczoraj. Jest pan człowiekiem do cna zepsutym i odpychającym. Żał mi oficerów, którzy mają pana za towarzysza, a teraz po raz ostatni nakazuję panu opuścić nasz powóz.

– Nie odejdę, dopóki się nie usprawiedliwię – nalegał. – A jeśli nie zechce mnie pani wysłuchać, to zostanę, aby dowiedzieć się, gdzie pani mieszka, i pojechać tam, aby się usprawiedliwić.

Po tych słowach oczy jej rozbliły i z najwyższą pogardą na twarzy i w tonie głosu powiedziała:

– Ach, myśli pan, że dwie damy są zbyt słabe, aby się bronić? Udowodnię, że jest inaczej. Johann, zatrzymaj powóz!

Stangret posłuchał. Powóz zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie stał policjant, ale ponieważ porucznik siedział odwrócony plecami do przodu, nie mógł go zobaczyć. Oparł się niedbale na siedzeniu i postanowił zagrać *va banque*⁶. Choćby dziewczyna nawet dziesięć razy kazała zatrzymać powóz, on za nic nie ruszyłby się ze swego miejsca.

– Panie posterunkowy, proszę do nas podejść! – zawołała Rosita.

Porucznik odwrócił się szybko, zobaczył zbliżającego się policjanta, rozpoznał zamiary dziewczyny i nie mógł ukryć rumieńca wstydu rozlewającego się na jego przerażonej twarzy. Już otwierał usta, chcąc wyprzedzić niebezpieczeństwo poprzez jakąś błyskotliwą uwagę, ale Rosita nie dała mu dojść do słowa.

– Panie posterunkowy – powiedziała – ten człowiek wdarł się do naszego powozu i nie chce wysiąść. Proszę nam pomóc!

Policjant rzucił na oficera zdumione spojrzenie. Ten zrozumiał, że tylko szybki odwrót może go uchronić przed nieprzyjemnymi konsekwencjami. Wsiadł szybko i tylko powiedział:

– Ta dama raczy tylko żartować, ale postaram się, by spoważniała.

Odszedł, rzucając piorunujące spojrzenie w stronę powozu.

– W ten oto sposób zostałyśmy wyzwolone. Dziękuję panu!

Z tymi słowami skierowanymi do policjanta dała znak woźnicy, aby kontynuował przerwana podróż, a policjant pozostał sam, nie mogąc do końca zrozumieć całego zajścia.

Porucznik czuł się upokorzony jak jeszcze nigdy w życiu. Zgrzytał zębami z wściekłości. Ten podłotek odplaci mu za taką odprawę! Wtedy dojrzał zbliżającą się w jego kierunku pustą dorożkę. Wsiadł i kazał

⁶ *Va banque* (fr.) – ryzykując wszystko; stawiając wszystko na jedną kartę.



– Panie posterunkowy – powiedziała – ten człowiek wdarł się do naszego powozu i nie chce wysiąść. Proszę nam pomóc!

fiakrowi pędzić za powozem, który wciąż był widoczny w oddali. Za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, gdzie mieszkają obie damy.

Droga prowadziła przez sporą część ogrodu zoologicznego, a następnie z powrotem do miasta. Powóz zatrzymał się przed budynkiem przypominającym pałac, położonym przy jednej z najbardziej ruchliwych ulic. Damy wysiadły, przywitane przez lokaja w liberii, a powóz wjechał w bramę. Ravenow zobaczył już wystarczająco dużo. *Vis-à-vis*⁷ budynku, po przeciwnej stronie ulicy zauważył gospodę, gdzie postanowił zasięgnąć informacji.

Kazał się zawieźć do swojego mieszkania, gdzie zdjął mundur i nałożył zwykły cywilny garnitur, po czym udał się do gospody, przekonany, że nikt z domu naprzeciw go nie rozpozna.

Lekki rausz po wcześniej wypitym winie minął na tyle, że śmiało mógł sobie pozwolić na kilka kufli piwa, aby tylko zdobyć informacje, których potrzebował. Niestety, karczmarz był sam w lokalu i na dodatek wydawał się ponurym, zamkniętym w sobie, małomównym człowiekiem. Ravenow wołał więc zaczekać na lepszą okazję.

Jego cierpliwość nie miała być wystawiona na zbyt długą próbę, gdyż niebawem ujrzał człowieka wychodzącego z domu naprzeciwko, który przeszedł ulicę, wkroczył do gospody, zamówił kufel piwa, wziął do ręki gazetę, ale szybko ją odłożył i rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby szukał lepszej rozrywki niż ta, którą mogła mu zaoferować gazeta.

Porucznik skorzystał z okazji. Z całej postawy mężczyzny wnosił, że był on żołnierzem i postanowił potraktować go jak towarzysza. Zaczął z nim rozmowę i wkrótce obaj siedzieli obok siebie i rozmawiali o wojnie, pokoju i o wszystkim, co zwykle bywa tematem rozmów przy piwie.

– Wnioskuje ze sposobu, w jaki się pan wyraża – powiedział porucznik – że służył pan w wojsku.

– Zgadza się; byłem podoficerem – odpowiedział tamten.

– Ach, ja również jestem podoficerem!

– Pan? – zapytał przybysz, dokładnie przyglądając się delikatnym dłoniom i całej postaci człowieka siedzącego naprzeciwko. – Hm! A dlaczego nie nosi pan munduru?

⁷ *Vis-à-vis* (fr.) – naprzeciwko.

– Jestem na urlopie.

– Hm! A kim jeszcze pan jest?

Z tonu jego głosu można było wnioskować, że nie bardzo uwierzył w to, że jego towarzysz był podoficerem. Ravenow miał na sobie cywilne ubranie, ale nawet na tysiąc kroków można w nim było dostrzec oficera.

– Jestem kupcem – odpowiedział. – A pan jak się nazywa?

– Nazywam się Ludewig, Ludewig Straubenberger tutaj.

– Mieszka pan w Berlinie?

– Ma się rozumieć! Mieszkam tam, w pałacu księcia Olsunny.

– Ach, ten pałac należy do księcia?

– Tak, hiszpańskiego; kupił go niedawno.

– Czy ma wielu służących?

– Hm, niezbyt przesadnie.

– A czy może jeden z jego urzędników nazywa się Sternau?

Ludewig, doświadczony myśliwy, stał się uważny. Był prostym człowiekiem, ale dzięki swojej przenikliwości, natychmiast się domyślił, że jest wypytywany. Wydarzenia z przeszłości związane z nazwiskiem Sternau były tego rodzaju, że trzeba było mieć się na baczności. Ten człowiek podający się za podoficera wydawał się kimś ważniejszym, a ponieważ Ludewig dowiedział się już od woźnicy, co wydarzyło się w Tiergarten, postanowił nie dać się przechytrzyć.

– Sternau? – powiedział. – Tak.

– Kim jest ten człowiek?

– Stangretem.

– Stangret, do wszystkich diabłów! Czy ma żonę i córkę?

– Ma się rozumieć tutaj.

– Czy nie są to te dwie damy, które niedawno spacerowały po Tiergarten?

– Tak.

– Ależ one nie wyglądały na żonę i córkę stangreta!

– Dlaczego nie? Książę tak sownie wynagradza swoich ludzi, że nawet ich żony i dzieci mogą się stroić jak damy. Nawiasem mówiąc, one nie były na przejażdżce tutaj. Sternau miał testować nowe konie trakeńskie, a ponieważ nie ma znaczenia, czy powóz jest pusty, czy nie, po prostu zabrał ze sobą obie kobiety.

– Do stu piorunów! Były grubiańskie jak żony furmanów! – wyrwało się porucznikowi.

– Ach, były grubiańskie? Usłyszał pan z ich ust coś niemiłego tutaj?

Pytając, spojrzal porucznikowi w oczy, przybrawszy przebiegły wyraz twarzy. Ten uświadomił sobie swoją wielką nieostrożność i spróbował to naprawić:

– Tak, coś niecoś usłyszałem. Byłem w ogrodzie zoologicznym, gdy tuż przede mną zatrzymał się powóz. Jakiś oficer musiał z niego wysiąść, zawstydzony w najbardziej złośliwy sposób przez obie kobiety.

– Tak! Hm! A skąd pan wie, że te kobiety nazywają się Sternau, co?

– Podają swoje nazwiska stojącemu obok policjantowi.

– A pan od razu tu przychodzisz i wypytujesz mnie o nie?

– Czysty przypadek!

– Przypadek, pięknie! Powinien pan uważać, aby moja dłoń nie znalazła się na pańskim policzku, oczywiście przez czysty przypadek!

– Och, co to ma znaczyć?

– Znaczy to, że nie można robić głupca z Ludewiga Straubenbergera. Rzeczywiście, wyglądasz pan jak jakiś podoficer tutaj. A jest pan tym samym porucznikiem, tym beztróskim filutem, któremu „furmańskie kobiety” dały się we znaki. A teraz przychodzi pan tutaj, aby szpiegować i dalej wykorzystywać okazję. Ale odpuść sobie, bo jedyne, co z tego wyniknie, to porządne baty tutaj. Jeśli chodzi o cięgi, jestem na wyciągnięcie ręki, pamiętaj! Teraz odchodzę; wrócę za pięć minut, przyprowadzę stangreta i kilku innych, którzy lubią dobrze się bawić. Jeżeli zostanie pan rozpoznany przez stangreta, to wygarbujemy pańską oficerską skórę tak, że się podziurawi. Na tym zakończę i adieu tutaj!

Po tej mocnej przemowie wstał, zapłacił za piwo i wyszedł. Ledwie zniknął za bramą, Ravenow także opuścił lokal. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w bijatykę z tego rodzaju ludźmi. Zaciekle przeklinał w duchu to, że wszystko wydawało się dzisiaj sprzysięgać przeciwko niemu. Nie podejrzewał nawet, że Ludewig podał mu fałszywe informacje na temat obu kobiet.

Tymczasem nadeszła pora, kiedy oficerowie wolnego stanu zbierali się w kasynie na posiłek. Zjawił się również Ravenow. Obecni rozmawiali już o jego zakładzie, więc zasypano go setką pytań. Próbował unikać

odpowiedzi, ale gdy nie dawano mu ani chwili spokoju i poproszono, by opowiedział o swojej przygodzie, oświadczył:

– Cóż więcej mogę powiedzieć! Mam wprawdzie jeszcze pięć dni czasu, a jednak zakład jest już wygrany.

– Udowodnij to, a dziś jeszcze zapłacę! – zadeklarował Golzen, który również był w kasynie.

– Udowodnić? – zaśmiał się cynicznie Ravenow. – Cóż tu udowadniać? Przecież można mi wierzyć, że jestem w stanie zdobyć córkę stangreta!

– Stangreta? – zapytał Golzen. – Niemożliwe!

– Ba! Jej ojciec nazywa się Sternau i jest stangretem księcia von Olsunna.

– Nie mogę w to uwierzyć. Ta dama nie może być córką jakiegoś stangreta!

– Więc idź i sam się przekonaj!

– Z pewnością to zrobię. Taka piękność jest godna tego, aby o nią się dopytywać. Poza tym musisz przedstawić dowód, że ci się udało. Przecież nie oddam ci mojego rumaka bez dowodu.

– Ba, więc dam ci go! Nie można jednak oczekiwać, że pokażę się publicznie z córką stangreta po to tylko, aby udowodnić, że zaszczyca mnie ona swoją wielką sympatią.

– To jest zakład, czyli wygrana lub przegrana, a nie jakiś prezent. Naprawdę muszę cię prosić, abyś to udowodnił. A sposób, w jaki to zrobisz, to twoja sprawa. Zwyczajne zapewnienie nie może rozstrzygać o wyniku zakładu. Co pan o tym sądzi, kapitanie? Jest pan tu obcy, a więc bezstronny.

Pytanie to zostało skierowane do wysokiego, szczupłego mężczyzny siedzącego przy stole. Chociaż miał na sobie cywilne ubranie, został przedstawiony w salonach kasyna jako kapitan Parkert z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Mógł być już po sześćdziesiątce, miał prawdziwie jankeską twarz i twierdził, że Kongres wysłał go, aby uzyskać wgląd w stan niemieckiej marynarki wojennej. Początkowo śledził rozmowę obojętnie, gdy jednak usłyszał nazwiska Olsunna i Sternau, wyraźnie się ożywił. Już miał odpowiedzieć, gdy drzwi się otwarły i wszedł

porucznik huzarów gwardii noszący odznakę adiutanta. Wyglądał na nieco wzburzonego; rzucił nakrycie głowy na krzesło z miną, która wyraźnie wskazywała, że był w bardzo ponurym nastroju.

– Hej, Branden, o co chodzi? – zapytał jeden z obecnych. – Dostałeś reprimendę od starego?

– To, i coś gorszego – odpowiedział adiutant i głośno zaklął.

– Do wszystkich diabłów, więc cię zrugal! Dlaczego?

– Pułk źle jeździ konno i w ogóle nie ma już porządných oficerów, jak twierdzi pułkownik. Mam to panom przekazać na osobności, aby nie trzeba było potem tego wykrzykiwać publicznie przed frontem.

Rzucił się na krzesło, chwycił pierwszy lepszy kielich wina i wypił jednym haustem.

– Nie ma już porządných oficerów! Do diabła! Czy tak mają się do nas odnosić?! Nie możemy tego tolerować!

Tak i podobnie wykrzykiwano dookoła. Czuć było ogólne oburzenie reprimendą, która mieli dostać przed frontem. Adiutant przytaknęła, zaklął ponownie i dodał:

– Nic dziwnego, że dowództwo ma o nas taką opinię, skoro do korpusu oficerskiego gwardii rekrutuje się teraz najgorsze elementy. Mam właśnie do przedstawienia nowego towarzysza.

– Ach! Do huzarów gwardii? W miejsce zmarłego von Wiersbickiego? Kto to jest?

– Pewien porucznik liniowy z Hesji-Darmstadt.

– Niech to diabli! Z linii do huzarów! I to do gwardyjskiej kawalerii!

– Ma dwadzieścia dwa lata.

– Niemożliwe! I jeszcze z Hesji! Do diabła z tymi nowymi stosunkami!

– I musicie jeszcze usłyszeć, jak się nazywa!

– Jak?

– Helmers.

– Helmers? – zapytał Ravenow. – Nie znam żadnej rodziny Helmersów, na mój honor! Von Helmers, hm, naprawdę nie znam żadnej!

– Tak, gdyby to był chociaż von Helmers – powiedział ze złością adiutant. – Jednak ten człowiek nazywa się zwyczajnie Helmers.

Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc.



Rzucił się na krzesło, chwycił pierwszy lepszy kielich wina i wypił jednym haustem.

– Mieszczanin? Nie ze szlacheckiego rodu? – pytali zmieszani.

Adiutant przytaknął.

– Tak, wygląda na to, że kawaleria posuwa się już za daleko – powiedział. – Musiałem ochłonąć, bo inaczej zażądałbym natychmiastowego zwolnienia mnie ze służby. Mało mnie szlag nie trafił, kiedy poznałem rodowód tego nowego tak zwanego towarzysza. Człowiek nazywa się Helmers, ma dwadzieścia dwa lata i służył w darmsztadzskim pułku liniowym, a jego ojciec jest dzierżawcą małego folwarku w Moguncji, a przy tym pełni funkcję sternika na jakiejś starej łajbie. Nie ma absolutnie żadnego majątku, a jednak wydaje się protegowanym wielkiego księcia Hesji. Major klnie na to, jak nas potraktowano, pułkownik klnie, generał klnie, wszystkie ekscelencje klną, ale na nic te wszystkie przekleństwa, ponieważ nowy porucznik został do nas przydzielony z góry. Musimy go przyjąć i tolerować.

– Przyjąć, ale niekoniecznie tolerować! – wykrzyknął hrabia Rave-now. – Przynajmniej jeśli o mnie chodzi, nie będę tolerował obok siebie żadnego chłopca czy marynarza. Ten człowiek musi zostać usunięty z regimentu.

– Oczywiście; jesteśmy to sobie winni – przytaknął inny i wszyscy przyznali mu rację.

Trudno uwierzyć, jak wyjątkowy jest duch korpusu oficerskiego, a w szczególności kawalerii gwardyjskiej. Każdy oficer uważa się tam za członka elity. Powołuje się nawet na przodków, łatwo więc wytłumaczyć, dlaczego pojawienie się Kurta⁸ Helmersa wzbudziło oburzenie równie głębokie jak i ogólne. Postanowiono podjąć stanowczą decyzję o usunięciu go z regimentu.

Przy tym nie zwrócono wcale uwagi na to, z jakim zainteresowaniem amerykański kapitan śledził przebieg rozmowy. Co prawda starał się ukryć wrażenie, jakie wywarło na nim wszystko, co do tej pory usłyszał, lecz można było dostrzec błyski, które od czasu do czasu wydobywały się spod jego grubych, krzaczastych brwi.

⁸ *Kurt* – w tym tomie K. May używa imienia Curt; zostało to ujednolicone zgodnie z wcześniejszą częścią powieści.

– To kiedy w końcu poznamy tego porucznika huzarów gwardii? – zapytał ktoś.

– Już dzisiaj – odpowiedział adiutant. – Ma dziś złożyć wizytę inauguracyjną. Po południu przedstawi się pułkownikowi, a potem będę miał wątpliwy zaszczyt przedstawić go moim towarzyszom tutaj wieczorem.

– Więc dziś wieczorem się tu nie zjawiamy – powiedział Ravenow.

– Dlaczego nie, drogi Ravenow? Nie doprowadzi to do niczego, gdyż nadchodzi czas, kiedy będziemy zmuszeni zająć przeciw niemu stanowisko. W każdym razie lepiej będzie, jeśli zbierzemy się tu wszyscy i od razu pokazemy mu otwarcie, czego może od nas oczekiwać.

Propozycja ta została jednogłośnie przyjęta, więc nad głowę młodzieńca nadciągała burza, o której nawet nie miał pojęcia.

Porucznik był już w Berlinie. Książę von Olsunna wynajdywał powoły, by od czasu do czasu przerywać swoją samotność na zamku Rheinswalden i dlatego kupił pałac w Berlinie, by czasami spędzić tu kilka tygodni. Przebywał w rezydencji od tygodnia, po raz pierwszy w towarzystwie swojej żony, bylej pani Sternau. Wczoraj przybył Otto von Rodenstein z żoną, córką księcia, i przywieźli ze sobą Różyczkę. Kurt Helmers mógł dotrzeć z Darmstadt do Berlina dopiero dziś rano. Przybył do pałacu na krótko przed powrotem księżnej i Różyczki z przejażdżki.

Wkrótce dowiemy się, jak toczyło się życie tych zaprzyjaźnionych rodzin w Rheinswalden, a wystarczy wspomnieć, że Kurt był zmuszony do częstych podróży wojskowych i od kilku lat nie widział Różyczki. Dopiero kilka dni temu wrócił z Turcji i wstrzymywany przez obowiązki służbowe, nie znalazł nawet czasu na przyjazd do Rheinswalden. Kiedy w końcu odwiedził matkę i starego kapitana von Rodensteina, usłyszał, że Różyczka wyjechała już do Berlina.

Stał teraz w swoim pokoju w pałacu księcia i wkładał mundur galowy, aby rozpocząć oficjalne wizyty. Było mu bardzo do twarzy w huzarskim mundurze. Z obiecującego chłopca wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Wprawdzie jego sylwetka nie była zbyt wielkich rozmiarów – ani nie był wysoki, ani barczysty – widać jednak było, że jego mięśnie i nerwy zostały nadzwyczajnie wytrenowane. Wysokie, szerokie czoło barwy kości

słoniowej odcinało się od mocno opalanej dolnej części twarzy w szczególności, ale bynajmniej nie przykry sposób. Chociaż nad jego górną wargą pokazał się dopiero cień wąsów, to jednak z rysów twarzy biła męska powaga, która mogła budzić szacunek dla młodego oficera. Każdy, kto spojrział w jego inteligentne oczy, z pewnością doszedł do przekonania, że nie patrzy na zwykłego, przeciętnego człowieka, ale na młodzieńca, który ma wszelkie warunki ku temu, by jako mężczyzna osiągnąć coś niezwykłego.

W tym momencie przez bramę przejechał powóz. Kurt pospieszył do okna, aby spojrzeć w dół, ale dostrzegł tylko sylwetki kobiet znikających w wejściu.

– Różyczka – powiedział do siebie, a na jego twarzy pojawił się radośny uśmiech. – Ach, jak dawno jej nie widziałem! Całą wieczność! Jest w tym wieku, w którym człowiek zmienia się szybciej w ciągu tygodni niż kiedy indziej przez lata. Czy ją rozpoznam? Muszę natychmiast zejść na dół!

Zszedł po schodach do salonu, w którym przebywał książę mający przyjąć obie panie po ich powrocie. Tu, w przestrzennym pomieszczeniu, piękno Różyczki mogło zrobić wrażenie i oczarować jeszcze bardziej niż w ciasnym powozie. Sternau, jej ojciec, był wysokim, potężnym i przystojnym mężczyzną, a Rosa de Rodriganda, jej matka, mogła śmiało mierzyć się z każdą piękną kobietą pod względem wdzięku i urody. Należało więc oczekiwać, że córka takiej pary połączy w sobie doskonałe cechy rodziców. I rzeczywiście, nordycki blond Sternaua i śniada, południowa karnacja Rosy połączyły się w Różyczce, tworząc dzieło, którego cudowny urok musiał podbić każde serce. Była ucieleśnionym obrazem Junony, Hebe i Kleopatry⁹ w jednym.

⁹ *Junona* – w mitologii rzymskiej odpowiednik greckiej Hery – małżonka Jowisza/Zeusy; *Hebe* – w mitologii greckiej bogini uosabiająca młodość, córka Zeusa i Hery, małżonka Heraklesa po jego ubóstwieniu; pełniła funkcję podczaszego bogów olimpijskich; *Kleopatra VII* (69-30 p.n.e.) – władczyni z dynastii Ptolomeuszów, ostatnia królowa starożytnego Egiptu od 51 roku p.n.e., słynna z urody, inteligencji i wykształcenia; pozbawiona władzy w 47 roku p.n.e., odzyskała tron dzięki pomocy Cezara; po jego śmierci poślubiła Marka Antoniusza; z jego pomocą usiłowała stworzyć potężne państwo hellenistyczne, po klęsce (31 p.n.e.) pod Akcjum popelniła samobójstwo.

Kurt z zachwytu zatrzymał się w wejściu. Co prawda wyobrażał sobie, że ona nadzwyczajnie się rozwinie, teraz jednak wydawało mu się, że tę wspaniałą istotę rozświetlała aureola promieni, których blask oślepił jego wzrok. Odwróciła się w jego stronę i natychmiast go rozpoznała.

– To Kurt, nasz kochany Kurt! – wykrzyknęła, podbiegając do niego i wyciągając na powitanie obie ręce.

Kurt usiłował zapanować nad ogromnym wrażeniem, pod którego wpływem zadrzało mu serce, uklonił się głęboko, ujął jedną z jej małych dłoni i delikatnie przyłożył do ust. W tym momencie nie był w stanie wymówić ani słowa, gdyż zdradziłyby go drżenie jego głosu.

Różyczka spojrzała na niego ze zdumieniem, uniosła lekko swoje pięknie zarysowane brwi i powiedziała:

– Tak obco i formalnie! Czy pan porucznik już mnie nie zna?

– Nie znać pani? – zapytał, już panując na sobą. – Wolalbym nie znać samego siebie, Wasza Wysokość!

– Wasza wysokość! – zawołała, klasnęła w dłonie i zaśmiała się swym złotym głosikiem, który tylko z jej ust brzmiał tak czysto i rozkosznie. – Ach, nagle przypomniałeś sobie, że mama była hrabiną de Rodriganda?

– Istotnie – odpowiedział mocno zakłopotany.

– I że papa Sternau jest synem księcia Olsunny?

– To również, księżniczko!

– Och, a teraz nawet księżniczka! – zaśmiała się. – Kurt, dlaczego wcześniej nie myślałeś o tych tytułach? Byłam Różyczką, a ty Kurtem; tak było, i miejmy nadzieję, że tak pozostanie! A może pan porucznik stał się taki dumny, odkąd został przeniesiony do huzarów gwardii, jak słyszałam?

Dopiero teraz przyjrzała mu się dokładniej. Filuterny uśmiech, który do tej pory tworzył na jej policzkach dwa cudowne dołeczki, zniknął i ustąpił miejsca delikatnemu dziewczęcemu rumieńcowi. Był to bezpośredni skutek mimowolnej myśli, że ten mały Kurt Helmers stał się przystojnym młodzieńcem.

Kurt już zdążył opanować swoje wzruszenie. Z ufnym, promiennym spojrzeniem ujął jej ręce, a w jego oczach pojawił się wilgotny błysk, gdy przemówił radosnym tonem:

– Dziękuję pani, Różyczko! Wciąż jestem tym samym starym przyjacielem, gotowym iść za panią tysiąc razy w ogień lub walczyć dla pani z całą armią wrogów.

– Tak, zawsze pan taki był jako chłopiec, zawsze się pan poświęcał dla niewdzięcznej i swawolnej Różyczki. Mam nadzieję, że jestem teraz rozsądniejsza i mniej wymagająca. Na pewno nie każę ci iść za mną w ogień ani mierzyć się z armią wrogów, choć dziś, mój dzielny rycerzu, miałabym powód, żeby włożyć miecz w twoją dłoń.

– Ach, czy to możliwe, Różyczko? Czy zostałaś obrażona? – zapytał z błyskiem w oczach.

– Trochę – odpowiedziała.

W tym momencie w rozmowę wmieszał się książę Olsunna, żywo pytając:

– Zostałaś obrażona? Przez kogo, moje dziecko?

– Przez porucznika Ravenowa. Służy w huzarach gwardii, tak jak nasz Kurt. Nawiasem mówiąc, uważam, że wysłałam zwycięsko z tego niesławnego ataku, nieprawdaż, babciu?

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała dawna pani Sternau i obecna księżna Olsunna. – Naprawdę nie sądziłam, że to drogie dziecko od momentu, gdy postawiło swój pierwszy krok na tym świecie, tak szybko rozwinie swoją inteligencję.

– Jestem bardzo zaintrygowany – powiedział książę. – Opowiedz nam o tym!

Wszyscy usiedli i teraz księżna zrelacjonowała całe wydarzenie. Olsunna zachowywał spokój, ale Kurt z podrażnienia nie mógł usiedzieć na krześle. Kiedy skończyła, zerwał się, wołając:

– Na Boga, co za bezczelność! Ten człowiek musi poznać moją klingę!

Książę machnął ręką i rzekł z powagą:

– Nie, drogi Kurcie! Narobisz sobie wrogów pośród swoich nowych towarzyszy z korpusu oficerskiego. Biorę sprawę w swoje ręce i sam poszukam satysfakcji.

– Satysfakcji? Nic z tego nie będzie. Ten Ravenow z powodzeniem usprawiedliwi się tym, że nie znał naszych pań.

– To możliwe. Mógł je pomylić ze zwykłymi kobietami, ponieważ zaniedbałem umieszczenia herbu na moim powozie. Ale przyjdzie jeszcze czas, aby wkroczyć z bronią. Wyszedłem w wprawy, lecz jeśli Bóg pozwoli, nadal będę miał jeszcze dość umiejętności, by samemu ukarać tego porucznika.

– Zdecydowanie nie pozwolę na to Waszej Wysokości! – zawołał Kurt. – Byłeś przez długi czas chory i choć w ciągu ostatnich kilku lat wróciłeś do zdrowia, taką sprawę należy powierzyć w młodsze ręce. A jeśli chodzi o moich towarzyszy, to już mnie ostrzeżono, że jak tylko się tam pojawię, zapewne zwrócą się przeciwko mnie. Jak dobrze wiadomo, w gwardii obowiązuje zasada, by po prostu ignorować mieszczkańskich oficerów. Wyzwanie tego Ravenowa nie przysporzy mi więcej wrogów, niż sam bym znalazł.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział książę ostrożnie i uspokajająco. – Jednak twoje ostatnie słowa przypominają mi, że zbliża się godzina, kiedy musisz się stawić u ministra wojny. Będziesz u niego mile widziany, gdyż twoje dotychczasowe osiągnięcia wzbudziły uznanie i dzięki temu spotkasz się z przyjaznym przyjęciem. Chciałbym, żeby tak było wszędzie podczas twoich dzisiejszych spotkań.

To na razie załatwiło sprawę i Kurt odszedł, aby złożyć przepisowe wizyty swoim przełożonym. W tajemnicy jednak przysięgł sobie, że nie pozwoli żadnemu z oficerów splamić swojego honoru w najmniejszym stopniu, a w szczególności przy pierwszej nadarzającej się okazji wymierzyć cios w Ravenowa.

Przygotowano dla Kurta ładny, lekki, jednokonny, otwarty powóz, do którego zaraz wsiadł, aby szybciej zakończyć mozolną pracę przedstawienia się. Ładne coupé¹⁰ zawiozło go najpierw do ministra wojny. Otrzymał rozkaz, by mu się przedstawić, co nigdy się nie zdarza w przypadku młodych oficerów, których odsyła się tylko do dowódcy pułku. Ten fakt dowodził, że istnieją powody, by uczynić dla niego zaszczytny wyjątek. I to jeszcze było bardzo niezwykłym przywilejem, że nie musiał

¹⁰ Coupé (fr.) – karetka miejska na dwie osoby, wprowadzona w 1838 roku przez lorda Broughama jako pojazd dżentelmeński; konstrukcyjnie jest „obciętą berlinką”, czyli zamkniętym dwuosobowym pojazdem powożonym z koźła.

czekać, ale od razu został przyjęty, mimo że wielu ludzi czekało w przedpokoju na audiencję i z zazdrością zauważyło, że ten młody człowiek ma pierwszeństwo.

Minister przyjął go uprzejmie, z satysfakcją ocenił jego wygląd i zadowoloną miną powiedział:

– Jest pan jeszcze młody, panie poruczniku, wyjątkowo młody, ale został mi pan gorąco polecony i jestem skłonny rozważyć tę rekomendację. Mimo młodego wieku studiował pan i poznał szczegółowo instytucje wojskowe w różnych krajach. Czytałem pańskie prace na ten temat i muszę wyrazić swoje uznanie. Wierzę, że pański talent rokuje nadzieje, więc postanowiłem zatrudnić pana w sztabie generalnym, gdy tylko za kilka miesięcy pozna pan nasz korpus gwardii. Nie będę ukrywał, że napotka pan trudności wynikające z tradycji tego korpusu, zachęcam jednak do ignorowania tych trudności na tyle, na ile pozwoli pański oficerski honor. Spotka się pan z chłodem i odrzuceniem, dlatego napisałem parę słów, które powinien pan przekazać swojemu pułkownikowi. Jest to jednak wyjątek, który ma ułatwić panu pierwsze kroki. Ruszaj pan z Bogiem i wkrótce daj mi znać, że odnalazł się pan w nowym otoczeniu, chociaż nie ma pan szczęścia należeć do ekskluzywnych kręgów naszej szlachty.

Wręczył Kurtowi zapieczętowaną kopertę zaadresowaną do pułkownika i z życzliwą miną dał znak, że audiencja skończona, zwróciwszy mu jeszcze uwagę na to, aby najpierw przedstawił się dowódcy dywizji, a następnie dowódcy brygady.

Początek ten był bardzo zachęcający, ale dalszy ciąg okazał się niestety znacznie mniej przyjemny. General dywizji kazał powiedzieć, że nie ma go w domu, chociaż Kurt zauważył go w oknie, a dowódca brygadier wprowadził go przyjął, ale z bardzo groźną miną.

– Nazywa się pan Helmers? – zapytał.

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

– A dalej nic? Nie ma pan żadnego „von” przed nazwiskiem?

– Nie – odpowiedział spokojnie Kurt.

– Nie mogę więc zrozumieć, jak można było przyjąć pana do gwardii!

Była to bezpośrednia zwyczajna złośliwość, toteż Kurt odpowiedział:

– Być może rozumie to Jego Ekscelencja pan minister wojny. Nawiasem mówiąc, nie znam żadnego rodu, którego założyciel miałby „von” przed nazwiskiem. Jeżeli rzeczywiście obecne pokolenie tych rodów powinno być bardziej szanowane niż pokolenie mieszczan, to przynajmniej jestem całkowicie równy moim przodkom, i to mi wystarcza.

General nigdy jeszcze nie dostał takiej nauczki. Zmrużył oczy i odpowiedział ostrym tonem:

– Jak? Co? Śmie pan odpowiadać? Ach, zapamiętam to sobie. Jest pan wolny. Proszę wyjść!

Kurt zasalutował i wyszedł. Udał się do pułkownika. Tutaj musiał czekać prawie godzinę, chociaż w przedpokoju nikogo nie było. W końcu został przyjęty. Pułkownik usiadł przy biurku i lekceważąco odwrócił się do niego plecami. Adiutant Branden pisał coś przy bocznym stoliku. Rzucił jedno zimne spojrzenie na wchodzącego i pisał dalej.

Minęło kilka minut, a wejście Kurta nie wydawało się zauważone. Zakaszlał więc głośno, może trochę złośliwie i wtedy pułkownik odwrócił się powoli.

– Kto tu kaszle? Ach, ktoś tu jest! Kim pan jest?

– Porucznik Helmers, według rozkazu, panie pułkowniku.

Na te słowa dowódca pułku wstał, podniósł monokl do oka i rzucił porucznikowi lodowate spojrzenie. Nie mogąc nic zarzucić jego zewnętrznemu wyglądowi, powiedział:

– A więc przybył pan. Zamelduje pan swoje przybycie w adiutanturze. Muszę panu powiedzieć, że służba w gwardii jest wymagająca. Czy poznał pan już oficerów?

– Nie.

– Hm! Czy będzie się pan stołował w kasynie?

– Mieszkam i stołuję się u znajomych.

– Ach tak! Hm! W takim razie nie wiem, w jaki sposób przedstawić pana oficerom.

Kurt zrozumiał, co pułkownik miał na myśli, ale odpowiedział uprzejmym tonem:

– Sądzę, że zgodnie ze zwyczajem to adiutanci biorą na siebie wzajemną prezentację towarzyszy. Czy powinienem przypuszczać, że w gwardii panują inne zasady?



*Wręczył Kurtowi zapieczętowaną kopertę zaadresowaną do pułkownika
i z życzliwą miną dał znak, że audiencja skończona*

Pułkownik odchrząknął bardzo wyraźnie i odpowiedział:

– Nie może pan chyba wymagać, aby korpus gwardii, zrzeszający przecież elitę szlachty, akceptował mieszczańskie zwyczaje; delikatnie mówiąc, nie jest łatwo dołączyć do niego komuś, kto z racji urodzenia jest poza tym gronem. Rozsądny ogrodnik nigdy nie posadzi zwykłego ziemniaka obok wytwornej kamelii lub róży...

– A jednak ten „zwykły” ziemniak przynosi zbawienie i błogosławieństwo milionom, podczas gdy róża i kamelia są dobre tylko dla oka lub nosa – wtrącił szybko Kurt. – Jestem przekonany, że nawet wspomniana przez pana pułkownika elita arystokracji, uważa gotowaną różę czy kamelię za absurd, podczas gdy ten zwykły ziemniak już dawno zyskał uznanie znamienitego grona, o którym właśnie usłyszałem.

Pułkownik mocniej nasadził monokl, rzucił bardzo zdziwione spojrzenie na mówiącego i powiedział ostrym tonem:

– Panie poruczniku, nie jestem przyzwyczajony do tego, aby mi przerywać; proszę to sobie zapamiętać! – A zwracając się do adiutanta, zapytał: – Mój drogi Branden, czy zamierzasz dziś odwiedzić kasyno?

– Wątpię – odpowiedział chłodno adiutant, nie odrywając wzroku od pisma.

Wtedy z jeszcze większym chłodem pułkownik zwrócił się do Kurta:

– Słyszał pan, poruczniku? Pozostawiam pańskiemu uznaniu sposób zbliżenia się do oficerów.

Kurt obojętnie skinął głową i odparł:

– Widzę, że jestem zmuszony iść jedyną pozostawioną mi wolną drogą. Ale tak, jak pan pułkownik jest przyzwyczajony do tego, że nikt mu nie przerywa, o czym powinienem pamiętać, tak i ja mam swoje nawyki, a jednym z nich jest to, że idę obroną drogą bez przeszkód, nie dając się nikomu powstrzymać, co proszę sobie łaskawie zapamiętać! Czy wolno mi zapytać, kiedy mam się stawić do służby?

Na tę śmiałą ripostę adiutant wstał powoli i zmierzył mówiącego spojrzeniem, w którym można było odczytać najbardziej nieprzyjemne zdziwienie. Twarz pułkownika zrobiła się purpurowa z gniewu, ale oparował się i powiedział władcym tonem:

– Co mnie obchodzą pańskie nawyki?! Zamelduje się pan do służby jutro rano, punktualnie o dziewiątej. Teraz może pan odejść!

Wtedy Kurt wyciągnął list, wręczył go z oficjalnym gestem poze-
gnalnym i rzekł:

– Wedle rozkazu, panie pułkowniku! Przedtem jednak proszę przy-
jąć ten list od Jego Ekscelencji pana ministra wojny.

Odwrócił się i wyszedł, dzwoniąc ostrogami. Pułkownik trzymał
kopertę w dłoni, ale jego spojrzenie spoczęło na adiutancie.

– Co za zuchwalec! – mruknął ze złością.

– Jeszcze mu wytkną tego ziemniaka – odpowiedział tamten.

– Nie mogę zrozumieć, jak Jego Ekscelencja mógł powierzyć mu
służbową korespondencję. A może to treść o charakterze prywatnym?
Zobaczmy!

Otworzył list i przeczytał:

Panie pułkowniku!

*Dostarczyciel tego listu został mi gorąco polecony. Oczekuję, że jego
towarzysze wezmą to pod uwagę, tak jak ja wziąłem po sprawdzeniu
jego umiejętności. Nie chciałbym, aby jego mieszczańskie pochodzenie
pozbawiło go przyjaznego powitania, którego będzie oczekiwał.*

Przeczytawszy te słowa, pułkownik stał z rozdziawionymi ustami.

– Do wszystkich diabłów! – krzyknął. – To dopiero rekomendacja!
I to od samego ministra, napisana i zaadresowana własnoręcznie! Jednak
nie może mi wyjść z głowy takie naruszenie zwyczajów w naszym czysto
arystokratycznym kręgu. Tu nawet władza ministra nie wystarczy. A ten
Helmers ze swoją zuchwałością nie jest człowiekiem, dla którego w imię
przyjaźni chciałoby się odstąpić od naszych starych, dobrych tradycji.

Kurt pojechał do majora, gdzie właśnie o nim rozmawiano. Gościł
tam rotmistrz ze swoją żoną, a oprócz niego młody porucznik, krewny
majora. Był on obecny podczas zawierania zakładu, a także na obie-
dzie, ale siedział w milczeniu. Teraz opowiedział przełożonym oraz ich
obu damom, co się wydarzyło. Jednocześnie pojawiło się oczywiste py-
tanie o nowego towarzysza niższego pochodzenia, którego zapowiedział
adiutant. Zarówno major, jak i rotmistrz przyłączyli się do postanowienia,
by nieprzychylnie traktować Helmersa, na co porucznik odpowiedział
z niezwykłą szczerością:

– Nie należy podejmować takiej decyzji bez uprzedniego poznania naszego kompana. Jego mieszczańskie pochodzenie nie wyklucza, że jest człowiekiem honoru. W takim wypadku mógłby poczuć się mocno urażony i nie sposób przewidzieć jego reakcji ani swarów, jakie mogą z tego wszystkiego wynikać.

– Oj, jest pan zbyt wrażliwy, mój drogi Platen – zauważył major. – To jest błąd młodości. Za dziesięć lat z pewnością będziesz oceniać podobne sprawy zupełnie inaczej. Żadna wrona nie wchodzi bezkarnie w krąg jastrzębi i orłów. Plebs to plebs, wiem o tym. Ten intruz złoży mi dziś swoją inauguracyjną wizytę i chcę, by od razu wiedział, czego może się po nas spodziewać.

Już podczas wypowiedzania tych słów można było usłyszeć odgłos toczącego się lekkiego powozu. Teraz otwarły się drzwi i służący zaanon-sował porucznika Helmersa.

– Ach, o wilku mowa! – powiedział rotmistrz, przybierając surową minę.

– Wejść! – rozkazał major, gładząc bojowo wąsy, lecz nie podnosząc się nawet o cal ze swojego miejsca.

Kurt wszedł do środka. Zobaczył ponure spojrzenia obu oficerów oraz pełne napięcia, wyniosłe spojrzenia kobiet. Nie miał wątpliwości co do powitania, jakie go tu czekało. Przyjął służbową postawę i czekał, aż się do niego odezwą.

– Kim pan jest? – zapytał szorstko major.

– Porucznik Helmers, panie majorze. Słyszałem, jak służący wymienił już moje nazwisko.

Tymi słowami Kurt odparł pierwszy cios. Major zdawał się tego nie zauważać i pytał dalej:

– Był już pan u pułkownika?

– Zgodnie z rozkazem.

– Czy otrzymał pan od niego wskazówki co do pańskiej służby?

– Tak jest.

– Więc nie mam nic do dodania. Może pan odejść!

Nie miał najmniejszego zamiaru wstać z miejsca, podobnie jak rotmistrz; jedynie porucznik Platen wstał i z przyjacielską życzliwością skinął



Przyjął służbową postawę i czekał, aż się do niego odezwą.

głową Kurtowi. Ten zaś, nie odwrócił się, jak oczekiwano, aby wyjść, tylko spojrzawszy na mężczyzn, odezwał się grzecznie i z powagą:

– Panie majorze, dostrzegam tu odznaki mojego szwadronu i uprzejmie proszę o przedstawienie mnie tym panom. Wtedy wykonam pański rozkaz, aby natychmiast „odejść”.

– Panowie już słyszeli pańskie nazwisko, jest ono na tyle krótkie, że nie można go tak szybko zapomnieć – odpowiedział major z pogardą. – Rotmistrz von Codmer i porucznik von Platen.

– Dziękuję! – odpowiedział spokojnie Kurt. – Teraz mogę „odejść”, choć wyrażenie to jest używane tylko w stosunku do rekrutów, a nie do oficerów.

Powiedziawszy te słowa, odwrócił się i wyszedł. Rotmistrz spojrzal na ma majora i wycedził:

– Na honor, co za bezczelny typ!

– Do mnie się tak zwracać! – krzyknął rozgniewany major.

– Mieszczkańska hołota! Bez żadnej przyzwoitości i wykształcenia, jak należało się spodziewać! – pożałowała się jedna z dam.

– Hm, pan towarzysz ma zdaje się cięty język – odważył się zauważyć porucznik. – Należy obchodzić się z nim ostrożnie. Nawiasem mówiąc, wcale nie sędzę, że prezentuje się źle – jest elegancki, postawny, przystojny. Jeżeli jest równie szybki w posługiwaniu się szablą jak językiem, to wkrótce będzie o nim głośno.

– Niech mu to nawet nie przyjdzie do głowy! – krzyknął major. – Damy mu do zrozumienia, że pojedykowiczów zamyka się w twierdzy. Mam nadzieję, że miękkie serce nie skłoni pana do nierozsądnych działań, drogi Platen!

– Moje dobre serce nigdy nie poprosi o nic, co byłoby niezgodne z moim honorem – odpowiedział nieco dwuznacznie porucznik. Wygląd i postawa Kurta wzbudziły jego sympatię i czuł, że nie może okazać nowemu towarzyszowi niesprawiedliwej wrogości.

Kurt wrócił do domu, gdzie musiał opowiedzieć księciu, jak został przyjęty przez wszystkich dżentelmenów. Kiedy skończył swój raport, Olsunna wzruszył ramionami i powiedział z uśmiechem:

– Spodziewałem się tego. Gwardia to najbardziej ekskluzywny i dumny korpus w każdym kraju, a tu, na północy, arystokraci są podobno najbardziej aroganccy i z największym uporem bronią swoich starych tradycji. Nie powinno cię to jednak niepokoić, mój drogi Kurcie. Podczas twojej nieobecności otrzymałem kilka słów od wielkiego księcia Hesji, który przebywa w Berlinie i...

– Wielki księżę w Berlinie? – przerwał mu szybko Kurt. – Jak się tu dostał? Przecież rozmawiałem z nim przedwczoraj w Darmstadt!

– Został wezwany telegraficznie na spotkanie z królem pruskim. Z listu wynika, że dotyczy to jakiejś bardzo ważnej i pilnej sprawy dyplomatycznej. Być może ma to związek z nowym stosunkiem Hesji do Prus, które były wrogo do siebie nastawione pod koniec wojny. A może chodzi o bardziej dalekosiężne sprawy. Ten pan von Bismarck ma niezwykle umysł i prowadzi bardzo śmiałe kalkulacje. Sam fakt, że obecność wielkiego księcia jest tak pilna, sugeruje ważne rzeczy. W ten sposób zostaje mu nadana ranga znacznego człowieka, przez co jego wpływ zyska większe znaczenie. Cieszę mnie to również ze względu na ciebie. Wielki księżę poprosił mnie o spotkanie, a ja skorzystam z okazji, aby mu powiedzieć, jak przyjmuje się tu jego protegowanego, którego gorąco polecił. Jestem przekonany, że pomoże ci to uzyskać ogromną satysfakcję.

To tylko część rozdziału...

CHCESZ PRZECZYTAĆ
DALSZĄ CZĘŚĆ?

Łeśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

PORUCZNIK GWARDII



Kolekcja

Leśna Różyczka

CZEŚĆ I – CÓRKA GRANDA

- Tom 1: Walka o miłość
- Tom 2: Uratowana miłość
- Tom 3: Jaskinia z królewskim skarbem

CZEŚĆ II – W POSZUKIWANIU ZEMSTY

- Tom 1: Wyprawa mścicieli
- Tom 2: Wyleczenie

CZEŚĆ III – ZWYCIĘSTWO MŚCICIELI

- Tom 1: Porucznik gwardii
- Tom 2: Maksymilian, cesarz Meksyku 1
- Tom 3: Maksymilian, cesarz Meksyku 2
- Tom 4: Maksymilian, cesarz Meksyku 3
- Tom 5: Tajemne posłannictwo
- Tom 6: Zakończenie

Leśna Różyczka to powieść o niespotykanym, gigantycznym wręcz rozmachu. Autor często przenosi akcję na różne kontynenty, stosuje zabieg czasowych skoków akcji. W powieści roi się od postaci historycznych, m.in.: cesarz Maksymilian, książe Bismarck, cesarz Wilhelm I. Jednym z głównych bohaterów jest doktor Sternau – pierwowzór późniejszego Old Shatterhanda (alter ego samego pisarza). Jego przygody to zapowiedź późniejszych, najlepszych dzieł autora *Winnetou*. *Leśna Różyczka* pokazała również dużą sprawność Maya w poruszaniu się w tematyce Dzikiego Zachodu i bliskowschodnich przestrzeni Orientu.

Niniejsza kolekcja jest zatem pierwszym polskim wydaniem *Das Waldröschen*, pozbawionym jakichkolwiek zmian i skrótów. Tekst oparty został na pierwszym niemieckim wydaniu. Ilustracje anonimowego twórcy pochodzą z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. MÜNCHMEYER, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.).

Wszystkich, którzy pragną przeżyć dziesiątki niesamowitych, wciągających i mrozących krew w żyłach przygód, serdecznie zapraszam do przeczytania *Leśnej Różyczki* Karola Maya, niezapomnianego klasyka powieści przygodowej.

Wydawnictwo JAMAKASZ | Ruś Śląska 2024
www.jamakaszy.pl

ISBN 978-83-66268-99-9 (kolekcja)
ISBN 978-83-67876-16-2 (tom szósty)